Rok I. Nowy Targ, dnia 25—28 grudnia 1913 r. Nr. 53.

1913

GAZETA PODHALAŃSKA

Nakładem Podhalańskiej Spółki Wydawniczej — Redaktor odpowiedzialny: Feliks Gwiżdż.

„Gazeta Podhalańska“ wychodzi na każdą niedzielę.

Adres redakcyi i administracyi: Nowy Targ, dom „Sokoła“. — Rękopisów nie zwraca się, listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Do listów wymagających odpowiedzi, należy dołączyć markę na odpowiedź. Reklamacye (nie zaklejone) są wolne od opłaty pocztowej. — „Gazeta Podhalańska“ kosztuje na cały rok: w Galicyi i Austro-Węgrzech 4 kor., w Królestwie Polskiem i Rosyi 3 ruble, w W. Księstwie Poznańskiem i w Niemczech 5 marek, w Ameryce 2 dolary. Numer pojedynczy 10 hal.

PRZY OPŁATKU.

W wilię świąt Bożego Narodzenia zeszłego roku dostaliście, Kochani Czytelnicy, pierwszy numer tej gazetki. I odtąd co tydzień, na każdą niedzielę zjawiała się „Gazeta Podhalańska“ u progu Waszych chat i przynosiła Wam wieści ze świata, wieści z całej Polski i z tych naszych kochanych stron, z Podhala, z Orawy i ze Spiża. Były wieści złe, były i dobre. Były rady i pouczenia, były wskazówki i marzenia. A wszystko to płynęło z dobrej chęci służenia Wam, z gorącego pragnienia, aby ta skalna ziemia nasza ożyła życiem nowem, jaśniejszem, więcej skupionem i więcej celowem. Czyśmy dobrze radzili, sami osądźcie.

Dzisiaj, przy stole, zasłanym sianem i nakrytym białym obrusem, gdy w kącie stoi na ławie snop owsa, oznaka radości i trosk naszych, przy tym opłatku, tyle mającym dla nas uroku, cisną się na usta mimowoli stare słowa nasze:

Na szczęście, na zdrowie, na to Boże Narodzenie...

Oby Wam się darzyło i szczęściło! Po dwu latach klęsk elementarnych, po niepokojach wojennych, po udrękach i cierpieniach naszych synów i braci u granic państwa w czasie zawieruchy bałkańskiej, po tym ogólnym zastoju gospodarczym, może Bóg zlituje się i nad Podhalem naszem, może wreszcie i my swobodniej tu odetchniemy.



Nowy kościół w Chochołowie.

Bo doprawdy rok 1913 był rokiem wielkiej próby. Przetrzymaliśmy ją wszyscy z wielkiemi stratami materyalnemi, ale też i ze znacznemi korzyściami moralnemi. Naród polski był wystawiony na liczne niebezpieczeństwa. Gdy jesienią roku 1912 rozległ się donośny huk armat na Bałkanie, podniosła głowy cała Europa. Karabiny były gotowe do strzału u granic wszystkich państw europejskich. W szczególności Rosya gotowała się do wojny z Austro-Węgrami. Nic też dziwnego, że w narodzie naszym obudziły się nadzieje na nowo. Niejako w spadku po dziadkach naszych, w idącym z pokolenia w pokolenie testamencie narodowym przejęliśmy

i przejmujemy na siebie święty obowiązek powszechnego ruszenia na głos Ojczyzny. Skoro stroiła się wojna Austro-Węgier z Rosyą, gdzież ta wojna miała być, jeśli nie na ziemiach naszych? Więc gotowaliśmy się do niej powszechnie, jako kto mógł. I pojawił się w Polsce ruch nowy — ruch wojskowy. Przy „Sokole“ powstały Drużyny polowe, osobno powstały Związki i Drużyny Strzeleckie, Drużyny Bartoszowe, u nas wreszcie Drużyny Podhalańskie. I najbardziej pocieszającym objawem tego ruchu było to, że brała w nim udział niezwykle liczny wieś nasza. Było to świadectwem wielkiego rozwoju świadomości narodowej wśród ludu i to jest może największa korzyść moralna, jaką w r. 1913 odnieśliśmy.

Podhale, jak już zaznaczyłem, ruch ten odczuło, złączyło się z nim i powstały Drużyny Podhalańskie. Że „Gazeta Podhalańska“ była tą iskrą, która ogień miłości Ojczyzny podniecała, że w historyi powstania Drużyn Podhalańskich i jej należy się kartka, nikt nie zaprzeczy. Ona to, nasza gazetka rzuciła myśl zakładania po wsiach Drużyn, ona im nazwę przyniosła, ona wreszcie była stałą ich strażniczką i opiekunką.

Gdy pierwsze szeregi Drużyn Podhalańskich zaczęły ćwiczyć się w sztuce wojskowej, „Gazeta Podhalańska“ wystąpiła z myślą uczczenia naszych przodków, Bohaterów Chochołowskich. I kto był w Chochołowie, w lutym, na obchodzie 67 rocznicy powstania góralskiego, ten wyniósł stamtąd najpiękniejsze wspomnienia na całe życie. Zgruchnął się naród góralski z całego Podhala, a nawet z Orawy, przybyło wielu ludzi z różnych stron Polski, istne poruszeństwo! I któż zapomni onczesne słowa kapłana o miłości Ojczyzny? Kto zapomni słowa gazdów, wzywające naród do zaniechania waśni w ważnej chwili? Kto zapomni tę prostą modlitwę za Bohaterów na cmentarzu chochołowskim, lub ów nieprzejrzany pochód ludzi ku granicy?

„Gazeta Podhalanska“ wydała wtedy dwa numery „chochołowskie“, z których drugi, z opisem obchodu, został przez prokuratoryę państwa skonfiskowany.

Po obchodzie chochołowskim Drużyny Podhalańskie powstawały jedna za drugą na całem Podhalu, aż w maju, w Nowym Targu, podczas obchodu Konstytucyi 3 Maja, zawiązały się w jeden wspólny Związek. Stanęło wtedy w Rynku nowotarskim 864 Drużyniaków. Odtąd praca w Drużynach rozwijała się stale, a obecnie wchodzi ona w nowy okres.

Oddziałując na życie nasze na Podhalu w tym kierunku, „Gazeta Podhalańska“ nie zapominała o innych, równie ważnych swych zadaniach. Zwracaliśmy pilnie uwagę na życie gospodarcze Podhala i zamieszczaliśmy stale artykuły o racyonalnej uprawie naszej ziemi, o chowie bydła, o sadownictwie itd. Znalazła też w naszej gazetce szerokie omówienie powstająca na Podhalu Szkoła rolnicza, po której spodziewamy się zbawiennego wpływu na naszą gospodarkę rolną. Nawoływała też i stale nawołuje gazetka nasza do zrzeszania się w Kółkach rolniczych, Kasach Reiffeisena i tym podobnych, korzyść ludowi przynoszących instytucyach. Hasło „swój do swego i po swoje“ podjęliśmy i krzewimy je wśród Podhalan, albowiem w opanowaniu wszelkich dziedzin pracy i zarobku przez Polaków widzimy dobro wszystkich.

Pragniemy utwierdzić lud nasz w tem przekonaniu, że jego obowiązkiem wobec Ojczyzny i przyszłości Podhala jest utrzymać się wszystkiemi siłami przy tej ukochanej, choć skąpej ziemi, obowiązkiem wspólnym jest rozwinąć tu przemysł rodzimy i handel. Walka o jutro jest bezwzględna. Co dziś stracisz, nie wróci już do ciebie. A nam, rozdartym na trzy części, nie mającym swego państwa, osaczonym dokoła, a nawet wewnątrz przez wrogów, tembardziej nie wolno nic utracić z dóbr, po przodkach odziedziczonych. My możemy i powinniśmy tylko pomnażać dziedzictwo dla przyszłych pokoleń. Ziemi nie pomnożymy, możemy jednak pomnożyć jej wydajność. Możemy pomnożyć gałęzie naszej pracy, a więc i dochodów. Dlaczego handel ma być przywilejem tylko tych, którzy od wieków w Polsce siedzą, a po polsku dotąd nie umieją? Dlaczego wszelkie mniejsze, czy większe przedsiębiorstwa mają być w ich, nie w naszem ręku? Tu nie chodzi o podburzanie jednych przeciw drugim, ale o prawo do jutra. Jeżeli nie opanujemy wszystkich dziedzin życia, zginiemy. Zwycięży ten, kto silniejszy. Takie jest surowe, okrutne prawo życia, któregośmy my właśnie, Polacy, doświadczyli najboleśniej w trzech rozbiorach Ojczyzny i w krwią przesiąkłych dziejach naszych porozbiorowych.

Z tą sprawą łączy się druga, którą „Gazeta Podhalańska“ podniosła i którą uważa za jedną z najważniejszych swych spraw. Jest to sprawa ludności polskiej na Węgrzech, w szczególności ludności polskiej na Spiżu, Orawie, w Trenczyńskiem i w innych komitatach północnych Węgier. Ludność ta, jak to już nieraz podnosiliśmy, najbliższa nam, Podhalanom i swoją mową i obyczajem, dotąd nie miała prawie żadnej opieki ze strony społeczeństwa polskiego. „Gazeta Podhalańska“ uważała za swój święty obowiązek pójść tam i nieść ciepło kultury polskiej. I przychodziła na Spiż, na Orawę, do osad w innych stolicach, przychodziła na każdą niedzielę, a witano ją tam serdecznie. Otrzymujemy stale listy od naszych Czytelników i wiemy, jak pożądaną, jak upragnioną strawą było tam polskie słowo. Przyszła z niem „Gazeta Podhalańska“, która i w przyszłości ten obowiązek spełniać będzie. Pojawienie się „Gazety Podhalańskiej“ na Spiżu i Orawie wywołało wśród sąsiadów naszych, Słowaków, najpierw niedowierzające zdziwienie, a potem gorączkową agitacyę przeciw niej, agitacyę bezowocną.

W agitacyi tej i w nagonce gazet słowackich użyto nawet wyrażenia, że nasza polska mowa góralska jest „mową słowacką“. Na te ataki słowackie i na takie

stawianie sprawy musieliśmy odpowiadać. Musieliśmy się bronić. Wojny nie zaczynaliśmy i bynajmniej jej nie pragniemy. Wojnę zaczęli Słowacy, czujący nieusprawiedliwiony żal do nas o to, żeśmy podali rękę braciom naszym, których oni przywłaszczali sobie powoli przez kościół i szkółki wiejskie. Że słowaczenie polskiej ludności góralskiej postępowało i postępuje jeszcze naprzód, na to mamy aż za liczne dowody. Jednakże nie poszliśmy na Górne Węgry dla wszczynania walki narodowościowej, jeno dla pracy kulturalnej w duchu polskim wsród ludności polskiej. I to właśnie — przy opłatku — należało może powtórzyć.

Należało to powtórzyć tembardziej, że Słowacy czują jakby żal do gazety także i o to, że nie wszczęła na Węgrzech wojny z Madziarami. Ale „Gazeta Podhalańska" nie może się kierować w żadnym wypadku postronnemi zachciankami. Jej cel jest: utrzymać polskość naszej ludności na Węgrzech. Społeczeństwo zaś madziarskie do celu naszego odnosi się życzliwie i przyjaźnie.

Oto krótki. i pobieżny rys tego, co mi się „przy opłatku" — po roku pracy — nasunęło. Byłoby tu jeszcze o czem pogadać, niejedna sprawa domaga się omówienia. Ale to już — po Nowym Roku. Dziś tylko to jeszcze dodam, iż owoce pracy naszej wspólnej na góralszczyźnie w r. 1913 uważam za nadspodziewane.

Oby nam się poszczęściło i w roku 1914.

Feliks Gwiżdż.

Z TRZECH KORON.

Kces z wysoka spoglądnąć
Na syćkie Podhala strony,
To hybaj, bracie, w Pieniny
I wyńdź na Trzy Korony.

Uwidzis obsar tej ziemi,
O jakim oko nie śniło,
I wzdychnies: Coby być mogło!...
Ba coz, kieby to było.

Tuz od stóp ku połedniu
Spiskie ci legną pagórki —
Mozes w nich cytać, jak w mapie,
Kiebyś uherskie znał durki.

Obrócis sie na północ,
To ci sie w ocach zamrocy
Naprociw tego ogromu,
Co sie górami gdzieś tocy...

Łańcuch zachodzi za łańcuch,
Grzbiet za grzbiet, coraz to iny,
Jaz ci, jak wody z za lądu,
Wynikną lackie niziny.

Teraz na zachód sie obróć:
Coz widzis? Rówień syroką —
Jaze na tatrach orawskich
Ścigłe zatrzymie sie oko.

Mozes ślebodnie wędrować
Po podhalańskich dziedzinach —

Wesele w Jabłonce na Orawie.

I.

Człowiek składo sie z ciała i z duse; ciało tez mo swoje części. Syćko na tym świecie dzieli sie na to i na owo, tak tez i wesele sie dzieli: na dziewosłęby, na zrękowiny i na wesele włościwe. To byk wom rod opisać, jakie kroki muszą porobić parobcy i dziewki, zanim dostaną ślub. Opisem wom to tu dlatego, abyście piękność wasych zwycajów weselnych poznali, pokochali i wesela te tak zachowali, jako one w dusach i sercach nasych ojców i praojców urosły. Bo to, co tu opisem, to nie bedzie opis wesel pańskich, ale to bedzie opis weselo nasego, weselo polskiego, ludowego. Duzo jo, wiecie, po weselach błądził, kim sie mi podarzyło syćkiego naucyć, syćkich pieśni i zwycajów. Ale to moze i źle pisę, bo syćkich pieśni sie mi z pewnością nie podarzyło naucyć, bo na kazdem weselu inse i nowe brzmiały na radość mojego serca i mojej śpiewającej przyrody. A dlatego, mili cytelnicy nasej ukochanej „Gazetki Podhalańskiej" jak wiecie co takiego o weselu, co tu nie bedzie opisane, chyćcie sie zaroz pióra, a napiście to nasej Gazetce. Bo więcej ocy więcej widzi. Ale nie ględźmy o selicem, ino sie przybierzmy ku temu weselu. Tedy nopierwej o tych dziewosłębach.

II.

Dziewosłęby.

Jano by sie rod zenić. Kogo se wybiere, ktoro ta usłysy klepanie jego serca, nom do tego nic. Pomału on ta wywonio, ka róze na przedoj, ktoro panna by wdzięcnie wionek na cepiec zmieniła, a kie widzi, zeby to była, a kie sie jesce i majątek sykuje, powie to rodzicom. Tatuś i mamusia Janowi powiedzą: Nie nom, ale sobie sie zenis, idź, pytoj se, jak ci sie widzi. Jano se teroz posuko jakiej starsej baby, ktoro sie dobrze rozumie na takich rzecach i pośle ją do dziewki, aby sie zwiedziała, jakiem okiem na niego poziera.

Znikąd ich telo nie przejrzys,
Co z tych Trzech Koron w Pieninach.

Dyć-my hań wetrój raz stali
Jaśni na niebie, jak świéce;
Z hańtąd my wytycowali
Podhalskiej ziemi granice.

Hań... po uherskie pęśty —
Hań... po słowiackie pohorza —
A hań... po lackie niziny,
Co lśniom, jak rąbki morza.

Ciorśtyna mury wyniesłe,
Co juz odziały sie w trawę,
Rzecy głosiły nam przesłe,
Jakąś minioną prec Sławę.

Na nowotarskiej równi,
Ka sie Dunajec wyświéca,
Jakby ze śniska zjawione
Wyrosło Miasto, stolica.

Hej Boze, co sie marzyło,
Co sie nam wte hań nie śniło!
Jeze onoby mogło być — —
Ba coz, kieby wej było.

Jano z Gronia.

Święta Bożego Narodzenia na Podhalu.

Najbardziej oczekiwanemi przez lud są święta Bożego Narodzenia. Czekają na nie młodzi i starzy, parobcy i dziewczęta, czeka niejeden pachołek i gazda, ba, czeka i ksiądz, bo to czas „kolędy“, na Podhalu zawsze obfitej. Małe dziecko nawet, od tygodnia przed świętami suszy co wieczór matce głowę pytaniem: „Mamo, a kielo jesce razy sie wyśpimy, zakiela przydzie mały Paniezus?“ To też wszystko gotuje się na to, by schludnie, pięknie przyjąć małego Jezusa. Gospodynie pieką chleby, kukiełki, babki, przygotowują i mięso na święta, kiełbasę, słoninę — a jeśli gdzie bieda nie doganiała, to i gęsina się znajdzie, upieczona, lub na „kwaśnicy“ uwarzona. Gospodarz czyści oborę, obejście całe porządkuje tak, by w święta panował wszędzie ład.

Przez cały okres świąt, aż do wielkiego Postu w każdej wsi widać wesołość na twarzach, muzyka rozbrzmiewa prawie w każdy tydzień w jakiejś chałupie, gdzieindziej znów „namowiny“ się odbywają, lub parobczak popija razem z towarzyszami, wśród których jeden za „cłeka“ niby swat, rej wodzi w domu, gdzie piękna, a bogata dziewka mieszka. Na „prządkach“ wesoło też, bo tam kolędy się śpiewa, o zabawach, weselach dawnych i przyszłych się opowiada — a ledwie wieczerzę zjedzą w każdym domu, to już tam do nocy brzmią wesołe piosneczki; czasem się do chałupy „turoń“ zabłąka, albo z „gwiazdą“ przyjdą kolędnicy, lub jak to dawniej bywało, z „betlejem“ orawcy za zbójników przebrani, a w Czarnym Dunajcu wodzili rej za pamięci naszych dziadków „bursianie“, niby towarzystwo zabawowe, które się na czas „godnich

---

W jedno popołednie baba zojdzie a po przywitaniu, po krótkiej rozmowie wypowie, po co przysła: „Przyśli by my tu z trunkiem, kiebyście nom pozwolili“. Dziewka i jej rodzice z mowy baby sie hnet dowiedzą, kto jom posłoł, a jak sie im widzi, kozom przyjść, a jak jesce nie chcą dziewki wydawać, taką odpowiedź dadzą: „Jesce nom nie rety, momy doś casu“.

Kie kozom przyść, parobek sie wybiere z dwoma chłopami, nakupi trunku i wiecór idą do dziewki.

„Pochwolony Jezus Chrystus“ — „Na wieki amen, witojcie“. — „Bóg zapłać, zdrowiście tu?“ „O zdrowi, a wyście ta zdrowi? „Dzierzymy sie“. „Coz nom ta tak nocną godziną niesiecie?“ „Idemy zprecka, bardzo my stropieni i chcieli by my se trochę odpocnąć. Widzieli my, ze sie tu świeci i mieli my telo śmiałości do wos przyść, a bardzo by my wos prosili przenocować. Ale nom nopierw pozwólcie siadnąć, a dejcie nom kielisków, bo my śli bez jeden cerstwy potok, wzieni my ś niego wody, chcieli by my ją spróbować“. Dziewka przyniesie kieluski, nalejom do nich i pijom syćcy. Ociec dziewki po liźnieniu trunku sie zaroz spytuje: „Jaki to hołdomas, co to za kupno?“ „To kupno wielgie a niewypowitedelne“. Zacną popijać, przegryzać — co dziewka na talorku przyniesła — a po chwili się osłowi strona parobka: „Kie tu momy przyść?“ Na drugą sobotę (lub inny dzień). „Ale nom dejcie znak“. Teroz dziewka posuko jakiej ładnej smatki i do jom parobkowi. Po chwilce parobek idzie z chłopami do domu troche uciesony, ze dziewke dostanie. Ale jacy trochę, bo sie boi, ze „ł o p a t e“ dostanie, t. j. ze mu dziewka do wyznaconego dnia pośle pieniądze za pijatyke. Jak „łopata“ nie zawitała, to sie parobek wybiere na zrękowiny.

(C. d. n.) *Jabłoncon.*

świąt" zawiązywało i miało swoją muzykę, mistrza swego, sąd swój — a ubiór ich był zbójnicki. W czasie adwentu zbierali oni owies na piwo, ziemniaki na wódkę, słoninę, mąkę na chleb — a potem w „Gody" bawili się w karczmie.

U starożytnych, pogańskich ludów obchodzono święta zimowe z podobną wesołością. Były to święta na cześć zamierającej na zimę przyrody całej, okrywającej się w białą płachtę śniegu do snu długiego, aż do czasu wiosny trwającego. U naszych przodków pogan uroczystość ta, zwana dotąd Godami, lub świętami godniemi, była jakby pożegnaniem starego i powitaniem nowego roku. Musiano też o niej śpiewać dużo pieśni wesołych, bo radość gospodarzy wielką była, gdy widzieli w swoich stodołach zgromadzony plon całorocznej swej pracy.

I zdaje się, że te wesołe piosnki nasze polskie zastąpiło duchowieństwo kolędami pobożnemi, w których nie brak i naszych pasterzy, wyśpiewujących o swych „bieliczkach", a wesołość iście weselna, nasza, polska, wieje z tych kolęd, czy to kiedy o tańcach przed żłóbkiem Jezusa wyśpiewują, o starym św. Józefie i o owych apostołach, którzy na weselu w Kanie galilejskiej nie już szklankami, puharkami przypijali, ale garncem, ba — nawet pił „Filip konewką do Mateusza".

W średnich wiekach, za czasów naszych królów, Piastów i Jagiellonów, obchodzono Nowy Rok w dniu Bożego Narodzenia, a więc też stąd u nas Polaków nazwano to święto Godami, bo tu schodził się rok stary (czyli jak dawniej mówiono „god" stary) z nowym.

Do najpiękniejszych, najwięcej poetycznych dni świątecznych w roku, należy dzień wigilii. Cały dom wygląda z upragnieniem w ten jeden dzień wieczoru, kiedy ukaże się na niebie pierwsza gwiazda. Dzieci cichuteńko się sprawują w ten dzień, by nie dostać bitki, bo cały rok taki będzie, jak wigilia. Wszyscy uważają na to, komu się kichnie, bo to wróży zdrowie, nie pożyczają niczego z domu, patrzą, kto wchodzi do izby z rana pierwszy, baba czy chłop, bo od tego zależy w roku nieszczęście i szczęście domu.

Zaledwie pierwsza gwiazdka ukaże się na niebie, gazda spieszy do stodoły i zrobiwszy dwa snopy z owsa, jeszcze nie wymłóconego, jeden większy, a drugi mały, wchodzi z nimi do izby uroczyście, chwaląc Pana Boga. Następnie gaździna rozściela snop większy na stole, przykrywa go białem prześcieradłem i stawia na niem talerz z miodem i opłatki. Snopek mały ustawia gazda w kącie ławy, około stołu, tuż przy oknie i za tym snopkiem ukrywa się, według wiary ich, mały „Jezusicek" i patrzy, „cy sie zgodzajom ludzie i zyjom na woli Boskiej". Przed samą wieczerzą wigilijną („obiadem") wszyscy klękają do modlitwy, a gospodarz zwraca się z głośną prośbą do Jezusa Nowonarodzonego, by raczył błogosławić i te dary, które spożywać będą z łaski Jego i dom cały i rodzinę miał w Swej świętej opiece. Po modlitwie zasiadają wszyscy domownicy do stołu, oglądnąwszy się za siebie, czy każdy ma swój cień (bo brak jego uważają za wskazówkę śmierci swej w przyszłym roku). Wszyscy też, zwłaszcza dzieci, starają się zapamiętać osoby, z któremi siedzą przy stole, bo wystarczy potem w razie zabłąkania się w lesie, czy w drodze, kiedy mamony wodzą nieraz człeka, wspomnieć sobie, z kim się jadło „obiad" wigilijny, a odrazu trafi się na dobrą drogę.

Gospodarz umaczawszy opłatek w miodzie, łamie się nim z każdym domownikiem, życząc każdemu zdrowia, szczęścia i błogosławieństwa Bożego, a po nim wszyscy robią to samo. Po opłatku gospodyni stawia miskę z kwaśnicą grzybową i ziemniakami, po niej groch z kapustą, śliwki gotowane — a kiedy wszyscy spożyją potrawy wigilijne, jedzą jabłka, bo to usuwa ból zębów. Po spożyciu potraw wszyscy znowu klękają do modlitwy. Resztki obiadu wraz z opłatkiem dają krowom do „polewanki" „bo wół Pana Jezusa ogrzewał i przewoził go bez wode, a koń nie kciał, bo Mu pedział wte: „E, dyć pockaj, jino pojem!" — i temu wej koń zawse nienazarty, a wół, krowa, to se jino raz poje, a potem miereńdza").

Wierzą też, że bydlęta w noc wigilijną rozmawiają o gospodarzu, jakie będą urodzaje w tym roku, czy będzie się mu w gospodarstwie szczęściło, ile lat będzie jeszcze gazda żył. Dziewczęta wybiegają po obiedzie na pole, nadsłuchując, w której stronie pies szczeka, bo z tej strony przyjdzie kawaler, który się z nią ożeni. Po uprzątnięciu wieczerzy i izby, gospodyni myje dzieciom głowy w ługu, a kiedy już wszystko zrobione, zasiadają wszyscy na ławy i śpiewają kolędy.

O północy spieszy prawie cały dom do kościoła na pasterkę — po drodze widno ludzi idących z dalekich wsi, by być w kościele, zaśpiewać kolędę Jezusowi malućkiemu. Dawniej — pamiętam — rozpoczynał je stary kościelny zawsze jedną i tą samą piosenką swojską:

Gwiazda gore Jezusowi w obłoku, w obłoku,
Anioł Pański asistuje przi boku, przi boku.
Hojze jino dyna, dyna,
Narodził sie Bóg-dziecina
w Betlejem.

Na drugi dzień rano po śniadaniu, złożonem z kawy i chleba dawniej, a dziś mięsnego już, idą wszyscy do kościoła, a każdy z jakąś ofiarą dla małego Jezusa. Gospodyni bierze nadto z sobą chleb, kukiełkę, by rozdać to między ubogich, w krypcie kościelnej siedzących i z nimi podzielić się radością z powodu świąt.

Za czasów staropolskich godzono służbę w drugi dzień świąt, t. j. w dzień św. Szczepana, co też zachowało się dotąd na Podhalu. W ten dzień od samego rana chodzą mali chłopcy (podłaźnicy) od domu do

domu po kolędzie „na podłazy" i podsypują gospodarzy owsem, mówiąc przytem:

Na scęście, na zdrowie
Na to Boze Narodzenie!
Coby wam sie darzyło
W oborze, kumorze
Sędyl dobrze;
Coby wam sie darzyły
Kury cubate,
Gęsi siodłate;
Telo wołków,
Kielo na dahu kołków,
Telo cielicek,
Co w lesie jedlicek.
Coby wam sie darzyły
Konie z białymi nogami,
Cobyście orali
Śtyroma pługami,
Jak nie śtyroma, to trzoma,
Jak nie trzoma, to dwoma,
Jak nie dwoma, to jednym,
Ale co godnym.
Siągnijcie do pieca,
Wyjmijcie kołoca,
Siągnijcie do skrzynie,
Wyjmijcie pół świnie,
Siągnijcie na wyzke
Wyjmijcie masła łyzke,
Siągnijcie do safki
Wyjmijcie gorzałki.
Piekliście, kłuliście... suć!...

i sypią owsem.

Za to dostają, jako kolędę, parę groszy, albo kromkę chleba, lub kukiełki.

Ponieważ zbliża się czas wesel, więc też tam, gdzie dziewka na wydaniu, spieszy parobczak, by ją „podsuć" owsem, a zarazem dać poznać rodzicom, że się stara o jej rękę. Rozumie się, że jeżeli jest mile widziany, przedstawia dla dziewczyny „dobrą partyę", rozpoczynają z nim pogawędkę rodzice, aż wtem zjawiają się i jego „towarzysia", ale nie z próżnemi rękami, tylko z baryłką wina, lub z beczułką piwa. — Wśród popijawy rozbrzmiewają śmiechy, śpiewki i nieraz ciągnie się taka zabawa do rana — a potem na drugi dzień idzie hyr po wsi, gdzie, u kogo, który parobek pił.

Od Bożego Narodzenia do Trzech Króli uważają na dni, jaka w który dzień pogoda, bo taki będzie każdy miesiąc; gdzieniegdzie pogodę wróżą od Trzech Króli do „rusnockich Trzek Króli". Urodzaj zaś w roku przyszłym zależy od nocy wigilnej, bo

Jak pastyrka jasno,
To w kumorze ciasno.

Józef Kantor.

O ks. Wojciechu Blaszyńskim.

Jeden z pierwszych listów z Orawy do „Gazety Podhalańskiej" przyniósł Czytelnikom naszym także krótkie wspomnienie o zbożnej działalności śp. księdza Wojciecha Blaszyńskiego, proboszcza z Sidziny, na Orawie. Któż to był ten ksiądz Wojciech Blaszyński?

Żyją jeszcze ludzie, co go pamiętają, a hyr o nim nigdy na Podhalu i wogóle na całej góralszczyźnie nie zaginie. Był to człowiek niezwykłej prostoty, świątobliwej pobożności, można powiedzieć — apostoł góralski. Urodzony w Chochołowie, pierwsze początki nauki pobieral w szkole klasztornej w Trzcianie na Orawie, potem w głębi Węgier, a wreszcie seminaryum du-



Ks. W. Blaszyński, prob. w Sidzinie.

chowne kończył w Tarnowie. Pierwszą posadę wikarego otrzymał w Makowie, a potem w Sidzinie, gdzie też został proboszczem i rozwinął działalność, która zapisała go w poczet pierwszych, wzorowych synów góralszczyzny.

W latach 1840—1866, gdy ks. Blaszyński działał, stan góralszczyzny był nader smutny. Pijaństwo, bójki, ciemnota powszechna trzymały nasz lud w nędzy duchowej i materyalnej. Ks. Blaszyński, jako rodak, góra z krwi i kości, postanowił zaradzić złemu. Jako kapłan, przez naukę prawd Chrystusowych, przez Kościół szedł do najdalszych kątów góralszczyzny. Rozniecał światło chrześcijańskie, głosił pouczające, proste kazania, wyrywał lud z objęć panującej powszechnie karczmy żydowskiej, sprowadzał nabożne i pouczające książki, żywoty świętych i rozszerzał je, gdzie tylko mógł. Rozeszła się wieść o dzielnym kapłanie po całej góralsz-

czyźnie, aż po Wisłę, Poprad na Spiżu i po Orawę. Ze wszystkich stron lud ciągnął do Sidziny, aby się spowiadać u tego przystępnego dla wszystkich sługi Bożego, aby skrzepić ducha jego naukami. Wreszcie tyle już narodu ciągnęło do Sidziny, iż ks. Blaszyński nie mógł sam nauczać. Wtedy zaczęły powstawać koła dziewcząt wiejskich, ślubujących czystość dozgonną i mających za cel krzewić naukę Chrystusową pod strzechami wiejskiemi. Stan oświaty był niski, więc i do tych kółek dziewczęcych musiały się zakraść nieraz jakieś błędy, które nieprzyjaciele ks. Blaszyńskiego urabiali na broń przeciw niemu. Stąd też powstała nazwa



Dom Blaszyńskich w Chochołowie.

ich, nieco drwinkowata — Sidziniarki. Te Sidziniarki przetrwały w niektórych okolicach po dzień dzisiejszy.

Ks. Blaszyński, krzewiąc słowem prostem ducha chrześcijańskiego wśród ludu góralskiego na Podhalu i Orawie, równocześnie budował nowy kościół w Chochołowie. Jako kapłan, pełen cnót, cieszył się wielkiem zaufaniem ludu, to też składki na kościół chochołowski płynęły do jego rąk dość znaczne. Wreszcie kościół już był prawie na ukończeniu, gdy pewnego dnia — przy rozbieraniu rusztowania — spadła belka i zabiła go. Ta niespodziewana śmierć apostoła góralszczyzny wywołała powszechny żal, który wyraził się także w licznych, przez lud układanych modlitwach i litaniach.

Po czterdziestu z górą latach od jego śmierci ukazała się obecnie spora księga z licznymi obrazkami, opisująca dokładnie żywot, nauki i działalność dzielnego księdza-górala. Już dawniej były książeczki i artykuły o ks. Blaszyńskim, ale żadna z tych książek nie zawiera tak dokładnego i obszernego opisu jego życia. Książkę tę, ułożoną nader przystępnie, tak, że ją każdy może zrozumieć, napisał ksiądz dr J. Górka, profesor Seminaryum duchownego w Tarnowie. Warto ją przeczytać, pozna się bowiem z niej postać niepospolitego obywatela-kapłana, a zarazem dowie się z niej każdy, jakie to panowały wówczas stosunki w Sidzinie i oko-



Figuga św. Jana Nepom. koło domu Blaszyńskich.

licy, na Podhalu i Orawie. Książka ta p. t. „Ks. Wojciech Blaszyński" kosztuje 4 korony, a można ją nabyć i w administracyi „Gazety Podhalańskiej".

Jako budzimy sie na Orawie.

Nasi bracio Śpisocy musom se myśleć, ze poniewaz o nos na Orawie głośno, to tu juz jakosik dobrze musi u nos być. Co prowda, ono ta widać, ze ludzie nasi zacynajom rozumieć, jakiego som pochodzenia, cego sie majom dzierzeć, ale my ta jesce i tu prec od końca. Nima sie cemu i cudować. Ten słowiocki wpływ tu juz od downa panuje.

Padajom ta, ze tu kiesik u nos polscy księza byli i polskie kozania miewali. Hej, ka ta juz som ci, co by to pamiętali, moze juz ani ik wnukowie nie zyjom!

We skołak to ta jesce nie tak downo po nasemu ucyli, poniekany i z polskik ksiązek. Drzewiej ucył ten, kto mioł na to chciwość i wiedzioł cytać, pisać i troche rachować. Mnie tez jesce taki chłop ucył. Dodziśka

zyje on jesce — i niek go ta Pon Bóg długie casy zywi. W skole my go „panem ucytelem“ tytułowali, chociaz ta poza skołom niejeden z nos obzywoł sie do niego: „stryku“ abo „krzesny ojce“. Taki on nom był w skole, jako ojciec w doma. Nigdy on ta po słowiocku nie ekśplikował nic, choć my juz słowiockie książki mieli. Tyk książek ta duzo nie było potrzebno. Pono dwie cy trzy. Ostatkiem ucył nos syćkiego pon ucytel ze swojej głowy, tak po nasemu.



Kościół w Sidzinie.

Ale potem nastały nowe zokony, ustawy, trza sie było w kozdej dziedzinie o edukowanego naucyciela postarać. Od tego casu juz mało kany sie znojdzie taki ucytel z tyk nowyk, co by wiedzioł po nasemu, bo wiera mało tu jest takik naskik, ba nojwięcej słowiackiego pochodzenio som i przeto tez po słowiacku przemowiajom do nasyk dzieci.

Co prowda, wedle zokonu, miało by sie ta we skołak po węgiersku ucyć — ale wiecie ten węgierski język to taki, ze: dobrze by było, kieby sie go dzieci nase naucyły, ale ono to cięzko idzie. Juz od poru roków som te zokony, cyli ustawy, ale tu między nasemi dziećmi ani jedno nie wie po węgiersku. A słowiocki język to zaś taki, ze: chociaz go nie ucom, choćby jeno co najpotrzebniejse padoł naucyciel słowiackim językiem, nase dzieci sie go hned naucom. Juz jako tako, ale przecie. Kieby to jeno po nasemu ucyli, to by sie moze nase dzieci więcej naucyły i z przedmiotów i z węgierscyzny, bo nie przeskodzała by im ta słowacyzna. No ale bieda o tem ozprawiać, kie ni momy jesce swojskik naucycieli — od tyk zaś, słowiockiego rodu, trudno ządać, zeby z nasemi dziećmi po polsku godali.

Tak wej juz i w skole dość przywyknie dziecko do słowiockiego języka. Nawet i modlitwa: w doma naucy się dziecko po polsku „Ojcze nasz...“, „Zdrowaś Maryo...“, ale potem to zabocy, bo w skole i w kościele musi to po słowiocku mówić.

Jako widzicie, do kościoła i do skoły dostała się ta słowacyzna takim sposobem, ze za to bieda kogo winować. W tym razie niewinni som tak i Słowiocy, jako moze i my sami.

A poza skołom, w zywocie? No między sobom ozprawiomy se ta jesce chwała Bogu dodziśka po swojemu. Ale juz z „panami“ to co insego. My tu panami nazywomy: probosca, okolnego notara i podnotara, rektora (organistę), ucytela, doktora, no i potem sytkik tyk urzędników, co w „mieście“ bywajom (w Trzcianie, w Twardosynie i w Namiestowie). Między tymi panami mało jest takik, coby byli naskiego pochodzenio, a jak sie i znojdzie taki, to ci sie juz wstydzi macierzyńskiej gwary — juz se myśli, ze więksym panem bedzie, kie bedzie po słowiocku ozprawioł z nami. Nima sie co cudować tym, co som słowiockiego rodu, a w słowiockim „mieście“ zyjom, bo kazby sie był naucył po polsku godać. Ale zaś ktory z tyk juz od 10, 20, ba i 30 roków między nami zyje, ten by nie mioł cas i powinien był sie naucyć naskiej gwary. Ale tu wiera okrom poru wyjątków nie naucom sie, ba jacy po słowiocku!

I jako padom, z panami my juz przywykli do tego, ze ś nimi po słowiocku trza ozprawiać. Juz jako tako, cy wie, cy nie wie, kozdy z nos przed panem po słowiocku ozprawio: Lecykiedy to takie, ze naiście ci panowie by nos o duzo lepiej mogli wyrozumieć, kie by my po swojemu godali, jako tak. Ale to juz taki zły zwycoj! Cudne to wiecie: ani po słowiocku, ani po polsku, tak, ze to iście bieda bez śmiechu słuchać. Wiecie, z nos ani jeden nigdy sie nie naucy doskonale po słowiacku, na piérwsem słowie go poznać, ze je on Polok.

Ale tu som winowaci po pierse ci panowie, co som naskiego rodu a za Słowioków sie podajom i na pośmiech świata po słowiocku gwarzom ze swoim ludem. Winowaci som tu i ci, ktorzy chociaz som słowiockiego rodu, ale między nami zyjom a nie kcom sie nasego języka poducyć, ba od nos ządajom, zeby my sie ucyli ik słowiockiego. Ostatkiem zaś winowaci i my sami, ze sie tak gwołtem tropimy z tom słowacyznom! Wierzcie mi: i z tyk panów więkso cąstka radziejby słysała, kieby my do nik po swojemu godali, jako tom miesankom, co jej ani wyrozumieć ni mozno.

A teroz o drukak: o ksiązkak i nowinkak. Jako

jo pamiętom, drzewiej ta nie duzo książek bywało u nos po domak. Ani polskik ani słowiockik — wyjmując książke modlitewnom i ka-nieka kalendorz. Polskie modlitewne książki jesce i do dziśka widać u staryk ludzi, ale co młodsi, to juz słowiockie majom. Jesce i ceskie sie znajdujom. Jak sie staro modlitewno książka zedrze, to sie juz jacy słowiockom kupi, zamiast polskiej. Nasi ludzie zaceni odwykać od polskiego cytanio.

Kalendorza to juz wiera naiście pono nigdy nie było widać u nos polskiego.

W nowsyk casak zaś ludzie chycili sie cytanio lepiej. Duzo a duzo sie ik pozapisowało do słowackiej spółki wydawnicej im św. Wojciecha i do słowackiej katolickiej „Jednoty". I stąd i stamtąd dostajom książki, kolendorze — i serzy sie słowacyzna.

W tem tez bieda by było kogo winować. Trzeba uznać, ze obie te spółki, tak jedna, jako i drugo majom piekne cele. Z tyk książek moze sie cłowiek jeno dobrego naucyć. Skoda, ze to po słowiocku, ale ktoz by nom tu był takie podobne polskie spółki pozakładoł? Do dziśka nie wiemy, cy som kany takie.

Ale juz co do nowinek, cyli gazet, to muse pedzieć odrazu, ze my w tem juz bardzo mało winowaci. Do tego nos juz insi nawiedli. No ale tez tak, ze: nie było w cem wybierać.

Polskie religijne nowinki bywały do niedowna, ale i to pomału wyginęło. Wyparły ich słowiackie. Jo nie padom, zeby te słowiackie nie były dobre, mnie sie jacy to nie widzi, ze som słowiackie i przez to nie dlo nos, ba dlo Słowioków. Te słowiackie nowinki religijne doradzili nom proboscowie z dobrej woli i ze zycliwości. Bo tez trudno by było od słowiackiego księdzaządać, zeby on polskie nowinki dokozoł cytać, skoro som ik nie zno i nie umie ik przecytać. Tego im nie mozno za złe brać — ale syćko jedno: słowacyzna i przez to sie tez ozserzowała i ozserzo sie ciągle.

Świeckik, politycnyk lebo innyk nowin w polskim języku, to tu moze nigdy nik nie cytoł. Zaroz od początku słowiackie my dostawali. W tem winowaty jest i som węgierski rząd, bo i on nom tu słowiackie nowinki posyłoł — no ale to tez tak było: rządowi sie ta ani nie śniło o tem, ze my tu Polocy. Ale potem zaceni nom posyłać słowiockie nowinki sami Słowiocy! To była dopiero trucizna! Z tyk sie juz nie dało nic naucyć. To juz jacy na to, zeby robić nienawiść a podburzać lud to przeciw krainie, to przeciw Węgrom. Te nowinki som to te same, co teroz juz i na nos wykrzykujom i rade by nos w łyzce wody utopić i te urobiły pomiędzy nami nojwięcej takik, co sie teroz za Słowioków uznajom, chociaz po oku ik poznać, ze som Polocy, krew z nasej krwi.

Pokrótce takimi i podobnymi sposobami dostała sie między nos ta słowacyzna. W nasem sierocem połozeniu, my sami nie wiedzieli, cego nie łapać i łapili my sie do paści, ktoro nos teroz dzierzy. My sie o siebie nie bardzo starali, a nasi opiekunowie sie nos ta nie bardzo pytali, cy sie nom ta bedzie widzieć, cy nie: dali nom to, co mieli. Na Węgrzech nie było Poloków, coby sie byli o nos starali i Węgrzy rachowali, ze my Słowiocy i Słowiocy zaś uradowali sie nom i tak. Nolepiej winy nie składać na nikogo, ba teroz jacy dbać o siebie, zebymy mogli naprawić cempierwej to, co sie zepsuło.

Tak. Tak to bywało, ale na dalej juz tak być nimoze! Rety nom juz było sie zobudzić, bo nom nad głowom wisiało niebezpieceństwo zginięcia ze światu.

I som Pon Bóg wsechmogący tak urządził świat, zeby kazde jego stworzenie tak zyło i ozwijało sie, jako On stworzył. Smrek bedzie wdy smrekiem — gruski nigdy nie bedom rosły na nim; koń bedzie wdy koniem — nigdy mu rogi nie wyrosnom; z rogatego bydła nigdy nie bedzie ptoctwa, beceć to bedzie zawzdy a nie gwizdać. Tak tez i my: Polocy my byli, polski był nas język ojcysty — nigdy nie bedom z nos Słowiocy!

Prowda, ze my sie juz zaceni słowiocyć, ale to jacy takie było, jako kie kto krowe do wozu zaprzągnie: przeto ta nigdy nie bedzie ś niej koń. Juz my sie tu zwiedzieli o tem, ze my na złom droge wstąpili, juz wiemy o tem, ze to było przeciw nasej naturze i przeciwne to było woli Boskiej.

Mnie sie tak zdaje, ze o kielo pomału i ciężko sie dostawała między nos ta słowacyzna, o telo warciej i snadniej bedzie od nos odchodziła. Bedzie — uwidzicie, ze bedzie! Bo juz i dziś to widać. Juz i teroz wsędy widno, ze sie budzimy. Juz sie tu mało kany nojdzie między nami taki, co by sie hańbił tego, ze je polskiego pochodzenio i co by sie za Słowioka podawoł, jako to jesce doniedowna prawie kazdy robił. Darmo ta Słowiocy brojom przeciw nasemu ruchowi. Nas lud sie ta domyśli, skąd duje wiater. Ci krzycom nobardziej, co im zol za nami, ci nos obmowiajom i gwarzom nom, zebymy spali cichutko dalej, zebymy sie nie rusali.

Nolepsy dowód tego, ze nas ruch jest słusny, jest to, ze nase władze sie mu nie sprzeciwiajom. Państwo nimo przeciw niemu nic, jacy teloządo, zeby my wierni byli tej ojcyźnie, w której zyjemy, zeby my jom sanowali. Nom sie tez tu zaś ani nie śni o insem, bo i nanicgodne tez to takie ptosysko, co do swojego gniozda kwasi i niedobro ta gaździno, co śmieci ze swojej izby przede swoje dźwierze wyrzuco, zeby to kazdy widzioł, jaki taras miewo w domu. My takimi nie kcemy być!

O, juz ta widać u nos, ze ozywomy! Pomału ta syćko przyjdzie do porządku! Juz my ta wej w trzciańskim okręgu i w statystyce za Poloków uznani: bedziecie widzieli, ze w 1920-ym roku sytka węgierscy górole za Poloków sie bedom głosili. Dopiero wtedy sie zwiemy naiście, kielo nos tu jest.

O, juz sie nom tu otwiérajom ocy! Jo ta juz nie od jednego słysoł tak, ze: „tego nom tu juz downo rety było“. Jo ta juz o duzo takik wiem, co juz przestali cytać słowiockie nowiny i odesłali to nazod, z tem zawiadomieniem, ze „momy se juz swojom Gazete Podholańskom“ (moze i przeto z takim gniéwem słowackie gazety pisujom teroz o nos!)

Że tu juz u nos nie cudne polskie cytanie, to juz i po tem poznać, ze tu jacy koło Jabłonki bez 5 tyźni koło 150 „Kalendarzy podhalańskich“ ozebrali! Momy tu juz i polskie cytelnie, jest ik juz ze śtyry i dziś to ta juz nietrzeba nukać, sami ludzie przychodzą pytać polskiej ksiązki na pozycke.

Pódzie ono, pódzie pomału! Ani sie nie musimy tak silić bardzo. Juz radni niek idzie pomału, a dobrze, jako wartko a podle. Bo wartko robota mało co godna. Tak, tak, kochani Bracio, tak sie dzierzmy i na dali, to nos i Pon Bóg rod bedzie widzioł!

Eugeniusz Stercula.

Jabłonka, w grudniu 1913 r.

GÓRALE NA WAWELU
W 1631 ROKU.

Każdy, kto choćby raz był w Krakowie, do śmierci nie zapomni wrażenia, jakie na przyjezdnym czynią stare mury, bramy i baszty, wspaniałe kościoły, a przedewszystkiem górujący nad miastem Wawel.

Wawel jest to najmilsze sercu Polaka wzgórze. Obok różnych nowszych budowli, wznosi się tam starodawny, przepiękny kościół biskupi, czyli katedra z trumną św. Stanisława i grobami królów polskich. Przy kościele stoi ogromny zamek, w którym mieszkali za dawnych, lepszych czasów nasi królowie. Dziwne koleje losów przechodził ten zamek. Początkowo był to wielki dworzec drewniany z obszernemi świetlicami i mnóstwem izb. W miejsce drewnianego zbudował murowany, jednopiętrowy zamek król Kazimierz Wielki, znany obrońca ludu wiejskiego, którego stąd nazwano „królem chłopków“. O tym królu powiedziano, że zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną.

Późniejsi królowie byli jeszcze od niego bogatsi i potężniejsi, mieli liczniejszy dwór. Zamek króla Kazimierza im nie wystarczał, dlatego król Zygmunt I Stary przed 400 laty przebudował ten zamek, znacznie go powiększył i wzniósł drugie piętro. Opisy posłów obcych państw, którzy ten zamek zewnątrz i wewnątrz widzieli, pełne są zachwytu. Trudno je tu przytaczać. Podziwiali oni sale ogromne, wyłożone drzewem suto rzeźbionem i złoconem; w innych pokojach były ściany obwieszone drogiemi tkaninami z jedwabiu i złota. W sali, gdzie król ważniejsze sprawy załatwiał, cała podłoga była nakryta suknem czerwonem, na ścianie kotara gruba, złota, sięgająca od sufitu aż do podłogi i złoty tron z kulą i baldachimem.

Ten śliczny zamek padł ofiarą pożaru w 1536 r.

Odtąd jakby jakieś nieszczęście zawisło nad tym zamkiem. Ilekroć go odnowiono, w kilkadziesiąt lat później niszczył go nowy pożar. Po pożarze w roku 1595, król Zygmunt III przeniósł stolicę państwa z Krakowa do Warszawy. Kraków pozostał odtąd tylko miastem, gdzie królów polskich koronowano i grzebano.

Upadek zamku rozpoczął się w r. 1702, kiedy go Szwedzi spalili i co było cenniejszego zagrabili. Po tej klęsce właściwie zamek nigdy się nie dźwignął. Królowie ówcześni, Sasi (Niemcy) nie dbali o Polskę, nie starali się o odbudowanie zamku, którego część spalona coraz bardziej ulegała zniszczeniu. Król August III, kiedy przyjechał do Krakowa na koronacyę, nie mieszkał wcale w zamku, a ostatni król polski, Stanisław August Poniatowski, koronował się nawet w Warszawie. Kazał on wprawdzie zrestaurować zamek, ale robota szła powoli. Tymczasem rząd austryacki zajął Kraków i w latach 1803—7 przerobił zamek, dawną siedzibę królów, na koszary wojskowe.

Zamek krakowski przez wieki dzielił i odzwierciedlał losy Polski. Kiedy Polska była uboga, był on drewniany. Gdy Polska stała się potężną, wzniesiono go z kamienia i przyozdobiono bogato. Gdy Polska podupadała i on zaczął popadać w ruinę. A jednak kiedy popatrzymy na Wawel, budzi się w duszy naszej jakaś otucha. Wszak te mury, przeciw którym sprzysięgły się od lat kilkuset wszystkie potęgi zniszczenia: pożary, klęski wojny, nędza kraju i złość wroga, nie upadły, lecz dumnie dźwigają się w górę!

Dzisiaj zamek przestał być koszarami wojska i od kilku lat wre tam praca nad przywróceniem mu choćby częściowo dawnego królewskiego wyglądu.

* *
*

W r. 1631 przybyli górale na Wawel. Było ich dziesięciu z różnych wsi Podhala.

Wiedli wtedy górale spór z Komorowskim, urzędnikiem królewskim, czyli starostą na Podhalu. Skarżyli się na niego, że ich zanadto uciska. Nie dali się pokrzywdzić, lecz wysłali swych przedstawicieli do króla, wiedząc, że król weźmie ich w opiekę przed samowolą możnego pana. Jadąc do Warszawy, po drodze wstąpili oni do Krakowa, żeby od komisarzy przez króla wyznaczonych, otrzymać poświadczenie swych krzywd. Komisarzami tymi byli: ks. oficyał Kretkowski, ks. kanonik Serebryski i sekretarz królewski, Zbigniew Bobrownicki, burgrabia krakowski. Dla udowodnienia swych krzywd wieźli ze sobą górale wszystkie pisma i papiery. Na Wawelu mieli oni wtedy życzliwego człowieka. Był nim p. Wiktoryn Zdanowski, dawny podstarości nowotarski, a obecnie podczaszy królewski, który zarządzał majątkiem króla w Krakowie. Jako

podstarości na Podhalu, zapisał się p. Zdanowski dobrze w pamięci chłopów. Założył on kilka wsi nowych (Zubsuche), a nawet potem, kiedy już stale mieszkał w Krakowie i nie urzędował na Podhalu, pamiętał o tych stronach i na zbudowanie nowego ołtarza w kościółku św. Anny w Nowym Targu przeznaczył 100 złp., sumę na owe czasy znaczną.

Teraz po przyjeździe, zaopiekował on się góralami i umieścił ich w stancyach przy stajniach królewskich, gdzie dawniej, za pobytu króla, mieściła się liczna służba stajenna. Przy pomocy p. Zdanowskiego załatwili górale wszystkie swe sprawy u komisarzy pomyślnie, oglądnęli i kościół katedralny i zamek królewski, jeszcze wtedy bardzo piękny i już mieli wyruszyć w dalszą drogę do Warszawy, do króla, kiedy o ich pobycie na Wawelu dowiedział się brat starosty Komorowskiego. Był on podstarościm krakowskim i miał pod sobą piechotę zamkową, która miała bronić zamku od nieprzyjaciela. Przy jej pomocy dopuścił się gwałtu. Uderzył na schronienie górali, chcąc ich ująć. Oni zabarykadowali się w izbach, lecz żołnierze wyrąbali dwoje drzwi, wybili okno, wpadli do izb i chłopów ujęli. Zabrano im suknie, pieniądze, konie i rynsztunek, a powiązanych wrzucono „jako jakich złodziei do wieże złodziejskiej“ i okuto w żelaza, zwane dybami. Ujęto wtedy następujących przedstawicieli chłopów: Stanisława Marszałka, Mikołaja Nowaczyka, Jana Gadowskiego, Jakóba Dunajeckiego, Jana Gubiłę, pachołka Chudego, Jana, syna wójta z Maruszyny, Walentego Niedojada, przysiężnika, Jadama Grońskiego i Jakóba Zabrzeskiego.

Więzienie ich nie długo trwało. Uwolnili ich z więzienia komisarze i Zdanowski. Już w dwa tygodnie później wnieśli górale w urzędzie grodzkim w Nowym Sączu nową skargę o ten gwałt na Komorowskiego.

Długo jeszcze sprawa się ciągła, zanim górale, którym zabrano papiery wszystkie, zyskali sprawiedliwość.

Takto w walce o ważne sprawy i słuszne prawa zaprawiali się górale do procesów, które i teraz bez istotnej potrzeby, ku własnej ruinie i zniszczeniu ustawicznie prowadzą.

Dr. Edmund Długopolski.

LISTY.

Bystre (ad Zakopane) w grudniu 1913 r.

Zakopiańskie Koło Towarzystwa Skoły ludowej, które tu pod holami pracuje bardzo na polu oświaty, postarało sie przesłego roku o piekne ksiązki lo Bystrzanów i umieściło wypozycalnie u jednej półgaździanki, Jagniesi Gąsienicównej, ktora, co moze, dość sie tem zajmuje. Jesienią 1913 roku, kiedy dr Kraszewski i pani Augustynowiczowa dowieźli nam te ksiązki, zesło sie nos pełno izba, a sytka radzi temu byli.

Jak dr Kraszewski w pieknyk słowak zachęcił do cytanio, a p. Augustynowiczowa umiała pieknie przegodać do kobiet, to zapisało sie ze śterdzieści osób, choć tu Bystre nie bardzo wielgie. Duzo cytali i wdzięcni byli za ten pomysł. Nowięcyj były cytane ksiązki z powieściami historycnemi, jak Kraszewskiego, Sienkiewicza, i inse, a takze poezyje Słowackiego i Syrokomli. Niestety mało odchodziły naukowe. Teroz, kie nadesły długie zimowe wiecory, Koło zakopiańskie T. S. L. zabrało ksiązki przecytane, a obiecało inse przysykować.

W skole ludowej tu na Bystrem 8-go grudnia był odcyt z obrazami świetlanymi. Mówiono o roku 63 i 64-ym. Niespodziewanie zesło sie godnie ludzi, choć był dzień niepogodny, posłuchalimy i upatrzeli na te obrazy, co przedstawiały smutne casy i wielgik bohaterów powstania.

Ludzie tu na Bystrem są dość fajni, duzo mają dobryk chęci a przy casie umiom sie tez i pobawić wesoło i pieknie n. p. i teroz przed jadwientem Pani Płużańska, co siedzi u Haręgzkik, wyprawiła nom wiecornice, bawili sie pieknie, młodzi tońcyli, starsi zaś siedzieli, przypatrzując sie im.

Było tam wseliniecego dość, jeno pijatyka była wyklucono, niewtórzy byli bardzo zbudowani tym przykładem. Młodzi tońcyli do 3-ciej w nocy, a rano mogli iść do pracy, bo niebyli zmęconi, bez to, ze nie pili alkoholu, a ino wode z cukrem i cytrynom.

Podobne zabawy często sie tu trafiają, bo i pani Mierczyńska z Warszawy, co tu juz jeździ do nos z dziesięć roków, latem urządzo nom takie wiecorki z pogodankami i tońcami, a tez bez trunków.

Takie wiecornice odbywają się oddawna na Bystrem u pp. Korniłowiczów, pp. Hersów itd.. zabowiomy się tam bardzo wesoło, pogwarzymy wseliniejako, potońcymy, jaze nom przyjemnie zyć po takiem ozerwaniu godziwem.

A cemu? bo sytka trzeźwi, to zoden zodnego nie obrazi. Mozemy przyznać, ze mozno zyć bez tej obrzydłej gorzały, co kazdemu ino skodzi. Mielimy tu downemi laty karcme na Bystrem, co była zgorseniem dlo wsystkik ludzi uczciwyk i utrapieniem wierutnem. Pijaństwu, hałasom i bójkom nie było końca, nieraz krew się poloła i zabawa kończyła sie w kryminale, a dudki niejednego gazdy przeminęły i gospodarstwo się zmarniło. Nieroz w zimie, w ostre mrozy to z niejednego by była juz dusa wyleciała, kieby nie litościwi gazdowie, co takiego pijoka wzieni do chałupy.

Od pół roku momy, chwała Bogu, spokój na Bystrem, wsyscy widzom, ze mozemy sie obyć bez karcmy, nawet pijocy radzi, ze nie majom pokusy.

Cosi gwarzą i pletą o nowej karcmie, byłoby to lo nos niescęściem wielgiem, chyba do tego nie doj-

dzie, bo są jesce ludzie, co broniom pokrzywdzonyk. Cego byśmy sie docekali, jakby tu znowu karcma na Bystrem była? My, co my tutejsi z dziada pradziada i kcemy zyć uczciwie, pracując ciężko, mielibyśmy patrzeć na przybyłyk, co sie między nos wepchali, kcieli by nami rządzić i śmierdzącom wódkom powietrze nam zabrudzać, wyzierając na tyk biednyk, zaślepionyk, co moze z ostatnim grosem po tom wódke idom? Przydałaby sie nom tu na Bystrem herbaciarnia, kaby sie przechodnie mogli pozywić, ogrzoć, przecytać gazety i ugwarzyć, a nawet uczciwie zabawić, jak to w innyk krajak bywo.

Bystrzanka.

Szaflary, w grudniu 1913 r.

Kończy się rok 1913. Płony to był rok, to też były i płone czasy. W Szaflarach, jako też i na całem Podhalu zaczął się rok 1913 pod złą gwiazdą, a kończy się pod nielepszą. Wszzystkie nadzieje rolników, ożywione z wiosną, zawiodły strasznie. Lato było mokre i ustawiczny deszcz nie pozwolił zebrać, ani zwieść. Z biedą pozbierali ludzie pierwsze siana.

Gorzej było z ziemniakami. Przyszły całe tygodnie ulewy, które trwały bez przerwy. Ziemniaki zarastały zielskiem i zaczęły gnić. Pozbierano ledwo tyle, wiele posadzono.

Nielepiej było ze zbożem. W czasie zbiorów ulewne deszcze nie pozwoliły go kosić, a skoszone wyrastało. Nieskoszone zaś zwalił deszcz tak, że trudno to było kosić, a jeszcze trudniej suszyć. Jak słonko zaświeciło na jeden dzień, to zaraz przez tydzień lał deszcz. Zaparzone i sczerniałe zbierali ludziska i zwozili ku chałupie.

W tym roku mniej się wybiera ludzi do Ameryki. Nie dlatego, by pieniędzy mieli dosyć, ale rząd obostrzył emigracyę, pilnując ściśle ustawy.

W czasach gorących zawiązaliśmy drużynę podhalańską i zapisało się zaraz do niej około 300 członków, a nawet kasa Raiffeisena uchwaliła jakąś kwotę do użytku tylko „w razie potrzeby;“ dotychczas spoczywa ta kwota niewypłacona w tejże kasie. Dziś członków ubyło z powodu wyśmiewań i niemądrych dowcipów starszych gospodarzy, ale zawsze jeszcze jest spory zastęp takich, którzy bez przerwy ćwiczą. Przeciw drużynie działa ciemnota, niechęć do nowości. Trzebaby, ażeby gazdowie nasi więcej czytali uczciwych książek i gazet. Obowiązkiem jest każdego Polaka-katolika czytać i rozszerzać pisma dobre, wypędzające ciemnotę i ospałość ze wsi.

Brakiem grosza niech się nikt nie wymawia, bo przepija nieraz 4, 6 a nawet 10 Koron za parę godzin. Czytając uczciwe książki i gazetki i rozszerzając je, wypędzimy ze wsi ciemnotę i ospałość i musi nastać jaśniejsza przyszłość.

Może nowy rok będzie lepszy. Dałby Bóg!

T.

Sieniawa, w grudniu 1913 r.

Wiedzą już światlejsi chłopi, co to za nieszczęście spada na wieś, jeżeli się osiedli w ich gminie żyd i otworzy sklep, albo wyszynk. Prawie zawsze się zdarza, że przychodzi do wsi żyd-biedak, a po kilku latach prowadzenia „interesu“ na chłopskiej skórze, lepiej stoi materyalnie, aniżeli najzamożniejszy gospodarz w gminie.

Do tych szczęśliwych gmin w powiecie nowotarskim, w których nie mieszkają żydzi-wyzyskiwacze, należy Sieniawa. Ale i w Sieniawie długie lata mieszkał żyd-szynkarz, który miał sklep i naciągał biedną ludność wiejską, co się tylko dało, bo w gminie nie było drugiego sklepu, któryby zaopatrywał mieszkańców w potrzebne wiktuały spożywcze.

Znalazło się nareszcie kilku rozumnych gospodarzy w Sieniawie i zawiązali przed czterema laty Kółko rolnicze, a w niedługim czasie i sklep Kółka roln. otworzyli. Rozpoczęła się więc walka między żydem, a sklepem Kółka roln. Ludność miejscowa opuszczała powoli sklep żydowski, w którym towar był drogi, a lichy, a garnęła się tłumnie do sklepu Kółka roln. Tak trwało przez dwa lata. W końcu żyd widział, że dłużej się nie utrzyma, sprzedał swoje przedsiębiorstwo w ręce katolickie i przed dwoma laty opuścił Sieniawę. Wszystkie gminy w powiecie nowotarskim, w których niema Kółek roln. — a sporo jeszcze takich gmin jest — winny zawiązywać Kółka roln., otwierać sklepy Kółek roln., jeżeli niema katolickich sklepów, a nie wzbogacać żydów, którzy są po większej części rozsadnikami zgnilizny moralnej i nieraz powodem nędzy materyalnej całych rodzin, ale wspólnemi siłami popierając samych siebie, dążyć do wyzwolenia się z biedy, jaka w tak ciężkich latach gniecie ludność wiejską.

I zdawałoby się, że już żadnego z górali sieniawskich nie spotka krzywda z ręki żydowskiej, bo żyd już dawno z gminy wyjechał. Aż oto przed paru tygodniami niejaki Hersch Leiser z Jaślisk „kupił“ u Józefa Damołocznego, rodem z Sieniawy, który u pomienionego żyda służył przez 3 lata, przeszło 8 morgów pola, kawał lasu, kamieniołom i dwie trzecie części domu, wartości, jak obliczają gospodarze, przeszło sześć tysięcy koron, za 1000 kor. (tysiąc koron).

Podnieść tu wypada, że wymieniony wyżej b. właściciel realności od 20 lat w Sieniawie nie mieszkał, ale tułał się po świecie i sam nie wiedział, ile gruntu posiada. Gdy zaś wspomniał nieoświecony chłop żydowi o sprzedaży gruntu, ten odniósł się do adwokata w Nowym Targu po informacye w tej sprawie, a dowiedziawszy się, że jest majątku na przeszło 6000 koron, wyłudził od Damołocznego Józefa, mówiąc, że jest tylko 2 morgi, cały majątek za tysiąc koron.

Damołoczny Józef zaś ze zgryzoty, że go żyd

oszukał, rozpił się i traci resztę grosza z „kumotrami" w Sieniawie, gdzie od kilku dni przebywa. A gdy straci wszystkie pieniądze, pójdzie w świat na robotę, bo jeszcze jest zdrów. A na stare lata, stargawszy zdrowie w służbie żydowskiej, powróci do gminy przynależności (Sieniawy) i będzie jej ciężarem. Oto są skutki braku oświaty. *F. B.*

Niedźwiedź, w grudniu 1913 r.

W niedzielę dnia 30 listopada obchodziliśmy uroczyście setną rocznicę śmierci Ks. Józefa Poniatowskiego w Czytelni Kółka rolniczego w Niedźwiedziu. W obszernej i pięknie przystrojonej gałązkami jodłowemi i świerkowemi sali zebrała się licznie publiczność i dziatwa szkolna z pobliskich wsi.

Po pięknem przemówieniu p. Maurycego Neumana o znaczeniu obchodów narodowych i z jakich to powodów czcimy pamięć śmierci tego bohatera narodowego, odśpiewały dzieci „Boże coś Polskę", a następnie pewien chłopiec oddeklamował piękny wiersz o śmierci Ks. Józefa. Potem znów dzieci śpiewały pieśni narodowe i deklamowało kilka dziewczynek naprzemian różne wiersze okolicznościowe.

Na zakończenie przemówił ks. wikary Rzepecki z Niedźwiedzia o dziejach naszej Ojczyzny, jej upadku, o wojnach napoleońskich, bitwie pod Lipskiem i śmierci Ks. Józefa i o strasznem położeniu naszej Ojczyzny w obecnych czasach. Wykazał jasno i dobitnie, jak wrogowie nasi Moskale, Prusacy i żydzi dążą do wyzucia nas z naszej Ojczyzny. Wzywał do wstrzemięźliwości, oszczędności, zachęcał do oświaty i pracy narodowej. Wszystkim, tak starym, jak i młodym, ta uroczystość bardzo się podobała i byli nią tak wzruszeni, że niejeden łzę ocierał.

W dniach 3, 4 i 5 grudnia mieliśmy tu 3-dniowy kurs gospodarczy, urządzony przez Wydział Rady powiatowej w Limanowej. Wykłady były o gospodarowaniu w górach, o nawozach i chowie bydła, o sadownictwie i o przyczynach nędzy galicyjskiej.

Kurs ten urządzili panowie: Hłyn, inspektor gospodarstwa z Limanowy, Łukasik, dyrektor szkoły sadowniczej „Słoneczna" w Limanowej, oraz p. Grzegorzak, lustrator z Mszany Dolnej. Wykłady odbywały się w pięknie przystrojonej sali Kółka rolniczego, gdzie było pełno słuchaczy. Prelegenci omówili w przystępnych słowach dla ludzi najważniejsze sprawy gospodarcze, sadownicze i społeczne, a lud słuchał ich bardzo ciekawie, ze zrozumieniem i zajęciem. Podobne wykłady wpływają bardzo korzystnie na lud, bo go uświadamiają narodowo i społecznie i przyczyniają się do wypędzenia „nędzy galicyjskiej". Wdzięczność należy się Radzie powiatowej w Limanowej, która ten kurs urządziła własnemi siłami w naszym zakątku górskim.

Niebawem będziemy mieli święta Bożego Narodzenia i „gody", czas uciech dla młodzieży. Więc niebawem rozpoczną się i kolędy. Piękny to jest zwyczaj, tylko, żeby kolędy te odbywały się poważnie. Lecz niestety w większej części kolędy te odbywają chłopcy w tym celu, ażeby zarobić coś na pijatyki i dudki z tych kolęd zostawiają u żydów. Ażeby pobożnego zwyczaju używać na obrazę Boską, na pijaństwo, to jest bardzo źle, trzeba tego zaniechać, lepiej te datki z kolęd użyć na jaki dobry cel, jak na Tow. Szkoły ludowej, na czytelnie, książki, lub gazety.

Spodziewam się, że myśli moje znajdą oddźwięk u społeczeństwa, a wielebni księża proboszczowie i inteligencya zachęcą do kolędowania na te cele.

Góral z Limanowskiego.

„GAZETA PODHALAŃSKA" kosztuje rocznie 4 kor., półrocznie 2 kor., kwartalnie tylko 1 koronę. Do Ameryki 2 dolary rocznie.

Czas odnowić przedpłatę na rok 1914!

KRONIKA.

Wesołych Świąt życzymy wszystkim Czytelnikom, Prenumeratorom i Współpracownikom „Gazety Podhalańskiej". Oby się grono nasze powiększało!

Nasz numer świąteczny. Niniejszym, 53 numerem zamykamy pierwszy rocznik „Gazety Podhalańskiej". Niepodobna było zamieścić w nim wszystkie artykuły i wiadomości, jakie otrzymaliśmy z Podhala, Orawy i Spiża. Materyał ten będzie zużytkowany w najbliższych numerach r. 1914. W szczególności nasz Karzeł, co już nieraz przemawiał z łamów naszej gazetki, znów opowie nam ładną historyę o wilii. Inż. Galica nadesłał nam wzór szkoły ludowej na Podhalu, będziemy to wnet oglądali. Współpracownicy z Orawy i ze Spiża również doczekają się w najbliższym czasie druku swych cennych artukułów. Treść numeru dzisiejszego, zamykającego rocznik, jest obfita, gazeta powiększona. Daj Boże, abyśmy stale mogli wydawać taki powiększony numer. A myślicie, że to niemożliwe? Możliwe, tylko trza się koło gazety skupić. Trzeba ją popierać, rozszerzać, prenumerować i do prenumeraty innych zachęcać. Przez co chłopi czescy doszli do potęgi? Przez swoje gazety. Przy opłatku pomyslcie i o swej „Gazecie Podhalańskiej".

Dyrektor Szpitala powszechnego w Nowym Targu. Wydział krajowy zamianował na posiedzeniu w dn. 19 grudnia b. r. dra Jana Gawlika dyrektorem Szpitala powszechnego w Nowym Targu. Wiadomość ta odbije się niezawodnie radosnem echem na Podhalu, na którem jest imię jego dobrze znanem, gdyż działalnością swoją na stanowisku kierownika szpitala klimatycznego w Zakopanem, zjednał sobie uznanie ogółu i cieszył się szczerą sympatyą, zwłaszcza wśród ludności wiejskiej, która z dalekich stron garnęła się do niego o poradę

lekarską. Dr Gawlik przez wykonanie szeregu trudnych operacyi z pomyślnym wynikiem zjednał sobie zasłużoną sławę i zdobył poczesne stanowisko między polskimi chirurgami. Witając Go z niekłamaną radością na nowem stanowisku, życzymy mu powodzenia w pracy dla dobra cierpiącej ludzkości, niemniej wyrażamy wdzięczność miarodajnym czynnikom za powołanie na kierownika szpitala człowieka tej miary, co dr Gawlik, w tem najmocniejszem przekonaniu, że szpital nowo otwarty pod jego kierownictwem stanie na wysokości swego zadania.

Szpital powszechny w Nowym Targu zostanie otwarty dnia 1 stycznia 1914 roku. Konkurs na posadę sekundaryusza naszego szpitala rozpisał Wydział krajowy z terminem do dnia 10 stycznia.

Na Bursę gimnazyalną zebrano podczas posiedzenia Podhalan w dniu 6 grudnia b. r. w Krakowie kwotę 23 kor. 10 hal. Przewielebny ks. Fitak przystąpił na członka Twa Bursy gimn. w Nowym Targu z wkładką 5 K.

Z zakopiańskiej Rady gminnej. Pod przewodnictwem naczelnika gminy p. Regieca odbyło się w sobotę dnia 13 grudnia budżetowe posiedzenie Rady gminnej w Zakopanem. Preliminarz budżetu na r. 1914 przyjęto prawie bez zmian. Między innemi uchwalono znaczną sumę na budowę szkoły ludowej w Zakopanem, oraz kupno czterech dalszych udziałów „Podhalańskiej Spółki Wydawniczej" w Nowym Targu.

Górale-narciarze. Z Zakopanego piszą nam: Przy towarzystwie „Związek Górali" w Zakopanem powstał na zebraniu dnia 14 grudnia oddział narciarski. W tym samym dniu odbył się pierwszy kurs narciarzy-górali. Przewodniczącym tego oddziału jest sekretarz gminy p. Wojciech Krzeptowski, zastępcą przewodniczącego Jędrzej Marusarz, sekretarzem Franciszek Sobczak, skarbnikiem Władysław Krzeptowski. Kierownikiem narciarzy jest p. Kubin. Do oddziału wpisało się odrazu przeszło 30 członków czynnych z wkładką roczną 2 kor., oraz pewna ilość członków wspierających z wkładką najmniej 10 kor. rocznie. Wraz z sekcyą narciarską „Związku Górali" będzie odbywała ćwiczenia na nartach także zakopiańska Drużyna Podhalańska. Na cele sekcyi złożył „Związek Górali" 100 koron, a gmina przyznała jej subwencyę 50 kor.

Opłatek w Związku Górali. Z Zakopanego piszą nam: Towarzystwo „Związek Górali" w Zakopanem urządza w dniu 28 grudnia uroczysty „Opłatek" i wspólną wieczerzę dla swoich członków i ich rodzin w sali prezesa Fr. Pawlicy koło magazynu zbożowego. Początek o g. 4-tej popołudniu. Wkładka od osoby 2 K.

Przedstawienie. „Związek górali" w Zakopanem urządza d. 1 stycz. w sali hot. „Morskie Oko" przedstawienie „Betleem Polskiego" Rydla. Dochód przeznaczony na budowę domu ludow. Związ. górali i na „Gazetę Podhalańs."

Za ten dział redakcya nie bierze odpowiedzialności.

Królewiacy, oświatowcy, niepodległościowcy zakupujcie masowo dla czytelni i książnic niezmiernie interesującą, bojkotową, świeżo przez **Ks. Józefa Dziedzica** wydaną książeczkę:

„Żyd we wsi"

u autora w Nowosielcach Kozickich p. Wojtkowa za przesłaniem 1 kor. opłatnie, przy 10 egz. 25% opustu, przy 50 egz. 50% opustu. **88.** 11—12

Co my za jedni?

Książeczka o stosunkach narodowościowych na Spiżu i Orawie jest do nabycia w Administracyi »Gazety Podhalańskiej«. Cena za egzemplarz 20 hal. z przesyłką 25 hal. **27.** 35—

Znakomita herbata

Z WIEŻĄ



WSZĘDZIE W KRAJU DO NABYCIA



SZARSKI i SYN

W KRAKOWIE.

ROK ZAŁOŻENIA 1853.

102. 1—20

SPÓŁKA HANDLOWA W ZAKOPANEM

TELEFON Nr. 3. Stow. zarejestr. z ogr. poręką. TELEFON Nr. 3

SKLEP CENTRALNY W DOMU „BAZAR POLSKI", UL. KRUPÓWKI
TRZY FILIE: ULICA KOŚCIELISKA, CHRAMCÓWKI i KRUPÓWKI

ELEKTRYCZNA PALARNIA KAWY. POLECA: **FABRYKA WODY SODOWEJ**

towary kolonialne, cukry i delikatesy — stare wina kuracyjne, wódki i koniaki — konserwy i wszelkie artykuły spożywcze na wycieczki — galanterye, rzeźby, mydła i perfumy. Największy skład przyborów i ubrań do turystyki, ceny podług katalogów wiedeńskich. Kosze i przybory do podróży. — Wielki wybór szkła, porcelany i naczyń kuchennych.

HURTOWNE SKŁADY WIN.

GŁÓWNA REPREZENTACYA BROWARU W OKOCIMIE I TENCZYNKU.

108.

Zakład pogrzebowy — Józefa Jończego

w NOWYM TARGU.

Urządza pogrzeby od najskromniejszych do najwspanialszych. Posiada na składzie wielki wybór trumien metalowych, dębowych i miękkich, wieńców, wybór pomników z piaskowca i krzyżyżelaznych. — Ceny najniższe. **32.** 52—52

Przy zamówieniach prosimy powoływać się na ogłoszenia „Gazety Podhalańskiej".

W sklepach Kółek rolniczych, w trafikach, u kramarzy na jarmarkach domagajcie się, by Wam sprzedawano tylko

„Kalendarz Podhalański"

NA ROK 1914.

82

Cena egzemplarza 70 halerzy! Przy większych zamówieniach w Administracyi „Gazety Podhalańskiej" (Nowy Targ dom „Sokoła") znaczny opust!

Pierwsza elektromotorowa

miejska

FABRYKA CEGIEŁ

W NOWYM TARGU

poleca znaną z dobrej jakości i w wielkim wyborze cegłę maszynową i ręczną, oraz podwójnie prasowaną po cenach bardzo umiarkowanych. **3.** 52—53

Fabryka wyrobów masarskich

JÓZEFA GALICY

:-: W ZAKOPANEM UL. KRUPÓWKI :-:

urządzona według najnowszych wymagań hygienicznych, zaopatrzona w największą na Podhalu sztuczną chłodnię o popędzie maszynowym.

Poleca swoje wyroby masarskie pierwszorzędnej jakości, po cenach bardzo przystępnych. Dla Kółek, Sklepów, Gospód znaczny opust. Zamówienia pocztą wysyła odwrotnie.

59. 41—41

Pierwsza na Podhalu

elektromotorowa

Fabryka masarska

wyrób szynek i wędlin, różnego gatunku, oraz

wyrąb i sprzedaż mięsa

Józefa Rajskiego

w Nowym Targu. **2.** 52—53

NOWOTNY i Ska.

Sprzedaż węgli i koksu w Nowym Targu

poleca:

koks i węgle krajowe, górnośląskie, oraz z Królestwa Polskiego po najtańszych cenach. — Dla Kółek i Spółek rolniczych ulgi w spłatach. — Przy większym odbiorze znaczny rabat. — Firma posiada zastępstwa najlepszych kopalń węgla krajowych i z Królestwa Polskiego. **10.** 52—53

Towarzystwo rolniczo-zaliczkowe

W NOWYM TARGU

Stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką przyjmuje wkładki oszczędności na 5% i udziela pożyczek wekslowych i hipotecznych na dogodnych warunkach. **9.** 52—53

Chcesz być zdrowym —
Jedz dobre pierniki!

Najlepsze wyrabia w Krakowie

Fabryka pierników Ant. Rothego

zawsze świeże do nabycia

w Składnicach i Sklepach Kółek

:-: rolniczych na Podhalu. :-:

Nie pożałuje —
Kto spróbuje!

98.

PAMIĄTKA JUBILEUSZOWA KAZIMIERZA TETMAJERA,

książeczka, wydana staraniem Komitetu Wykonawczego I. Zjazdu Podhalan. Jest do nabycia w Admistracyi „Gazety Podhalańskiej“ po cenie 30 hal. Z przesyłką 35 hal. **15.** 26—

Magazyn towarów galanteryjnych

Stanisława Giżyckiego

w Nowym Targu

poleca po najniższych cenach:

bieliznę męską, skarpetki, rękawiczki kołnierze, krawatki, buty amerykańskie

SWEATERY I CZAPKI

pończochy, rękawiczki, kołnierzyki damskie i dziecinne,

SKŁAD PRZYBORÓW MYŚLIWSKICH.

52. 40—40

Drukarnia I. Borka w Nowym Targu.